

Kronika tygodniowa.

Poniedziałek, dnia 17 września b. r., stał się więc dniem dla każdego zjadacza powszedniego chleba (z kalkalem i bez...) dniem o pierwszorzędnym znaczeniu. Skończyliśmy urzędowy czas letni, zaczęliśmy zaś zimowy, co miało nastąpić, według wyraźnego rozporządzenia władzy, w ten sposób, iż w dniu tym, o godzinie trzeciej rano, polecono cofnąć skazówki zegarów o godzinę, więc na godzinę drugą.

Teraz żyjemy w wojennych czasach i każdy stara się, o ile mu tylko sił starczy, by zastosować się do najrozmaitszych obwieszczeń, rozporządzeń, pouczeń i t. d., by tylko nie wejść w konflikt z ustawą i nie dostać się przypadkowo tam, gdzie wejść łatwo, a skąd wyjść nieco trudniej, nie też dziwnego, że wielu obywateli tak sobie to polecenie „cofnięcia zegarków” wzięło do serca, iż postanowili operacji tej dokonać osobiście i to w przepisanej porze. Wyłoniła się przecież trudność, której nikt nie przewidział. Równocześnie z zaprowadzeniem czasu zimowego wydano też rozporządzenie, iż odtąd restauracje i piwiarnie, ze względu na oszczędności opałow-oświetleniowe, ma się zamykać już o dziesiątej wieczór, kawiarnie zaś i cukiernie o jedenastej. Szanujący rozporządzenia władz obywatel rozszerzonego miasta Krakowa znalazł się więc w bardzo przykrem położeniu. Wieczór z niedzieli na poniedziałek spędził u Wentzla lub Hawelki, skąd wyszedł o dziesiątej do Noworolskiego, Bisanza lub Esplanady, gdzie mógł przeczekać do jedenastej. Ale co zrobić z resztą czasu do godziny trzeciej, na którą władza wyznaczyła posunięcie wstecz skazówek?... Do domu iść się nie opłaci, gdyż można sobie zaspać i na razić się potem na odpowiedzialność, na plantacjach lub Rynku czekać też nie warto. Niewiadomo zresztą, czy dopisze pogoda, gdyż, jak już P. T. Czytelnikom z poprzednich kronik jest znanem, z woli Opatrzności i drukarni pracę swą zaczynam już w sobotę, a kończę zwykle tego samego dnia, w przepowiednie więc meteorologiczne na tak daleki dystans bawić się nie mogę, nauczony choćby doświadczeniem naszej *Kraukauerki*, która wróży pogodę tylko na pół dnia na przód, a i tak często się myli.

Najszczęśliwsi są więc ci, którzy zegarków wcale nie posiadają, gdyż oni noc z szesnastego na siedemnastego września, o ile nie mają pluskiew w łóżku, przespać mogą spokojnie. Dziwi mnie też, dlaczego termin przesunięcia skazówek wyznaczono właśnie na tę noc, a nie na poprzednią, z piętnastego na szesnastego września, więc akurat w połowie miesiąca?... Może uczyniono to ze względu na niedzielę, kiedy nie powinno się ciężko pracować, choć, nawiasem mówiąc, przesunięcie zegarowych skazówek za ciężką pracę uważanem być chyba nie powinno. Raczej przypuszczam, iż w ten sposób chciało uczcić Nowy Rok żydowski, 5678 od stworzenia świata, a właściwie tej nocy się rozpoczynający.]

Niech sobie zresztą prawodawca miał na myśli, co chciał, mógł być przecież na tyle delikatnym i terminu na porę nocną nie wyznaczać i to na godzinę, w której, według rozporządzenia władz i ponczenia pana fizyka, każdy, dbający o swe zdrowie, spać powinien. Czy zresztą jedna i druga małżonka zgodzi się na to, by głowa domu, celem dokonania tej urzędowej czynności, przez całą noc z szesnastego na siedemnastego miała bawić na mieście i powrócić dopiero nad ranem?... W domu także na godzinę trzecią (kiedy będzie właściwie druga...) oczekiwać się nie opłaci, bo trudno się kłaść do łóżka, by przypadkiem nie zaspać, a czuwać pociemku też nie bardzo przyjemnie. Jak z tego widać, już samo wprowadzenie czasu zimowego, który miał się przyczynić do oszczędzania na opale i oświetleniu, połączone jest z czemś zupełnie przeciwnem.

A jak zresztą łatwo w nocy się pomylić, i, dajmy na to, skazówkę zegara zamiast cofnąć, posunąć jeszcze o godzinę naprzód?... Nie jest też wykluczonem, że w poniedziałek, zwłaszcza w biurach i urzędach, będzie sporo nieporozumień na tem tle. Jest jednak na to rada, kto przyjdzie w tym dniu do biura według starego, letniego czasu, więc z godzinnym opóźnieniem, powinien wyjść wedle nowej rachuby, a zyska przez to znów godzinę i uznanie przełożonych, że starał się nadrobić to, co zaniedbał.

Morał z tego, że wszelkie ważne czynności, które połączone są z normalnym trybem życia codziennego, powinno się z zasady załatwiać w dzień, a nie w nocy, gdyż wtedy o pomyłkę nie trudno.

Odnosnie do zaprowadzenia czasu zimowego czytam w pismach codziennych wzmiankę, iż w Niemczech, skąd do nas także przychodzą różne muiej lub więcej fortunne projekty, zastanawiają się sfery miarodajne, czy nie należałoby, ze względu właśnie na oszczędność

światła i opału, wprowadzenie zimowego czasu odłożyć na dzień 15. października. Pomysł, być może dobry, ale ja mam jeszcze lepszy. Ponieważ brak nam nafty, a lubimy, by było jasno w pokoju, brak także węgla, a chcielibyśmy ciepła, zróbmy poprostu tak: zamiast października, listopada, grudnia, stycznia, lutego i marca (o ile *nota bene* kwiecień przyobieca, że będzie grzeczny...) zaprowadzić na próbę maj, czerwiec, lipiec i t. d., tamte zaś miesiące, tak zwane zimowe, odłożyć na lato, więc na okres, gdy każdy się poci i narzeka na gorąca. Należałoby przedtem zawiadomić o tem w drodze urzędowej i niebieskiego referenta od pogody, by przypadkiem się nie pomylił, i, widząc na kalendarzu światowym napis „grudzień”, nie sypnął śniegiem, gdy po inne lata bywał wtedy lipiec, a śniegu u nas nie uświadczył, chyba gdzieś na najwyższych szczytach Tatr.

Ten projekt nie wydaje mi się bynajmniej trudnym do wprowadzenia w życie, nie trzeba bowiem nawet przesunąć skazówek w zegarku, wystarczy tylko poprzekładać kartki w kalendarzu i wszystko będzie w porządku.

Wówczas możemy gwizdać na centralę węglową, pół roku będziemy mieć bowiem ciepło, gdyż tak było od wieków, przez drugie pół wyobrazimy sobie, iż nam mróz nie dokucza, gdy spojrzymy na kalendarz i wyczytamy tam napisy miesięcy: maj, czerwiec, lipiec i t. d.

Ten projekt zdałoby się już w roku bieżącym w czyn wprowadzić, gdyż, po pierwsze, materiałów opałowych i oświetleniowych ciągle brak, a niema nadziei, by się sytuacja przed zimą poprawiła, po drugie zaś, jakiś tam meteorolog, (oby mu po najdłuższem życiu psi marsza grali!) zapowiada, że tegoroczna zima, która jest pierwszą w poczynającym się według jego obliczeń peryodzie, według wszelkiego prawdopodobieństwa będzie niezwykle ostrą i mroźną, choć znów na innym miejscu mówi, że tylko co druga zima ma wykraczać ponad zwykłą normę. Jeśli to ostatnie twierdzenie ma być prawdziwem, to możemy być spokojni. Poprzednia zima tak się nam już dała we znaki, że następna chyba od niej ostrzejszą i mroźniejszą być nie może. Na udowodnienie przecieży tego, co pierwej powiedział, to jest, iż powinniśmy się porządnie zaopatrzyć na zimę, bo będzie „sakramencką”, dodaje, iż przemawiają za tem i inne (prócz jego twierdzeń) okoliczności, jak niezwykle wielkie plamy na słońcu, zbytnie zбочenie magnetyczne ziemi i t. d. Na potwierdzenie jego dowodów mógłbym dodać swoją uwagę. Zauważyłem, że jednemu z mych znajomych, który dotąd łysy był, uiczem kolano, zaczynają na głowie porastać nowe włosy, a to ma być, według opinii znawców, najpewniejszym znakiem, że zbliżająca się zima będzie ostrą. Sama natura lituje się nad człowiekiem i, widząc, że nie stać go teraz na futrzak, czapkę, daje mu bodaj naturalne poszycie, by go w ten sposób uchronić od przemrożenia sobie tak delikatnej części ciała, jaką jest mózg, już choćby tylko z tego powodu, iż ma w głowie swoją rezydencję, a głowa ma chyba swą wartość, skoro Kornikow za Kiereńskiego mózgowicę ofiarował aż trzydzieści tysięcy rubli. Jeśli wartość głowy jest tak wysoko na giełdzie notowaną, to warto ją mieć, albo bodaj... tylko połowę.

Po inne lata pisywałem w tym czasie o przygotowywaniu zapasów na zimę, niestety, dziś o tem ani nie wspomnę, by nie uderzyć w nieprzyjemną strunę, której głos w sercu każdego odbić się musi bardzo smutno, a stamtąd dojść aż do żołądka. Węgli brak, gdyż nie nadeszła ich jeszcze centrala, ziemniaki zjedli Wiedeńczycy, kapustę gasienice, cóż więc gromadzić na zimę, skoro koło tych trzech artykułów obracała się corocznie cała zapobiegliwość naszych gospodyń. O ile nas nie poratuje miejski Urząd gospodarczy, będziemy więc, niczem ów niedźwiedź z bajki, łapę lizać i w ten tani, choć prymitywny sposób zaspakajając swój głód.

Skoro już zacząłem pisać o kwestyi aprowizacyjnej, niech mi będzie wolno podać do wiadomości ogółu, w jak dowcipny sposób urządzają się galicyjscy speculanci, wywożący z kraju artykuły spożywcze do Wiednia, by je tam sprzedać po cenach podwójnych lub potrójnych. Opowiadał mi o tem pewien jegomość, który dopiero powrócił z Wiednia.

W pociągu błyskawicznym, którym wyjechał z Krakowa, było w klasie drugiej takie przepełnienie, że tak on, jak i kilku jego towarzyszy niedoli (czytaj: podróży...) musiało stać na korytarzu, nie mając miejsca, gdzie mogliby wygodnie, jeśli już nie rozciągnąć, to bodaj wesprzeć grzeszne ciało. Wtem oczy ich padły na kilka koszy z rzeczami, ustawionych w samym końcu przejścia, gdyż był to ostatni wagon pociągu. Nie namyślając się długo, rozebrali piramidę, rozstawili je i rozsiedli się na nich wygodnie. Jechali w ten sposób długo, nagle przecież zjawił się pasażer, do którego owe kosze widocznie należały, narobił bowiem

gwałtu, gdy spostrzegł w jakim one są nieposzanowaniu.

Od słowa do słowa, przyszło do kłótni. Jedna strona ubolewała, jak można „robić takie paskudztwo” i siedzieć na koszu, druga utrzymywała, że kosz, jako zbyt wielki, powinien być oddany na wagę, jeśli zaś stoi tu bezprawnie, niech bodaj cierpiący niewygodę pasażerowie mają zeń jakiś taki pożytek. Gdy to owego właściciela koszy nie przekonało i ciągle zakładał „veto” przeciw siedzeniu na jego własnych koszach, jegomość ów, wyprowadzony już z równowagi, zagroził, że na najbliższej stacyi każe zawezwać urzędnika ruchu i kosze zabrać do wozu bagażowego.

To widocznie podziało, bo właściciel koszy spuścił nieco z tonu, zniżył nawet głos o całą prawie oktawę i zakończył bardzo grzecznie:

— Ale ja panów bardzo proszę nie siadać na tych koszach!

— Ciekawy jestem, co im to może zaszkodzić? — zrobił ktoś uwagę — Tam są ubrania i bielizna, nie im się przez to nie stanie!

— Właśnie, że nie!... Ja panom powiem w sekrecie, tam są jajka! Ja je z Jarosławia wiozę na sprzedaż do Wiednia... Inaczej, nie pozwolono by mi, a tu, to nikt się nie spyta nawet... Nikomu ani przez myśl nie przejdzie, że w drugiej klasie pociągu błyskawicznego mogą być kilkadziesiąt kopy jajków!

— I to się paun opłaca?

— Nu!... Jakby się nie opłacało, to ja pewnie nie robiłbym tego!...

Mały obrazek, ale ilustrujący dokładnie, w jaki sposób wywozi się z Galicji najrozmaitsze artykuły spożywcze, których my taki brak odczuwamy i dla czego ceny ich z dnia na dzień się podnoszą... Taki aprowizacyjny spekulant nie ogląda się na taryfę maksymalną, płaci daleko więcej, bo wie, że i tak na tem porządnie zarobi.

Należałoby żądać, aby władze, które powinny ogół otaczać swą opieką, w jego interesie miały otwarte oczy tam, gdzie potrzeba i by pilnie baczyły na to, co się dzieje, wypadki bowiem, jak wyżej opisany, przytrafiają się codziennie.

By i polityce poświęcić pewną wzmiankę, jako iż i jej się to należy, przedewszystkiem wspomnieć muszę o najnowszym konflikcie Argentyny ze Szwecją. Dyplomacya Stanów Zjednoczonych wykryła, iż poseł niemiecki w Argentynie przez tamtejszego zastępcę Szwecyi wysyłał depeche szyfrowane z przeznaczeniem ich dla wiadomości rządu niemieckiego. W politycznym świecie zawrzało. Stany Zjednoczone i koalicja wystąpiły z tego powodu przeciw Szwecji, grożąc nawet zerwaniem stosunków dyplomatycznych. Ameryka zakazała na razie wywozu towarów do Szwecyi, ale, jak powiadają, da się może przebłagać, jeśli Szwecja okaże czynny żal, to jest zmieni dotychczasowy rząd, sprzyjający państwu centralnym, na uległy koalicji.

Czy tak się stanie, niedaleka przyszłość okaże. Może P. T. Czytelnicy dowiedzą się o tem jeszcze przed ukazaniem się kroniki z pism codziennych, mogących ogół rychlej, niż tygodnik informować.

Także w międzyczasie mogą zajść w Rosyi ważne wydarzenia, na co się zanosi ze względu na spór Kiereńskiego z Kornikowem, o czem, dzięki angielskiej cenzurze, nic pozytywnego nie wiemy, prócz tego, że tam jest źle, a z każdym dniem staje się jeszcze gorzej i że Rosya stoi w przededniu wojny domowej. Kiereńskiego już zabito, potem znów ożył, został dyktatorem, naczelnym wodzem, jest ministrem, słowem piastuje tyle godności, że do objęcia carskiego tronu jeden krok tylko...

Ale tymczasem wojna się może skończy. Czytamy w pismach codziennych, że Anglia gotową byłaby do podjęcia rokowań pokojowych, ale tylko przy pośrednictwie Wiednia. Z czterech punktów, o jakich projekt wspomina, najbardziej podoba mi się czwarty, który mówi, że zwrot niemieckich kolonii jest przewidywany, z wyjątkiem południowo-afrykańskich, w których rozsiedli się Boerowie i tak im tam dobrze, że ani myślą stamtąd się ruszyć. Natomiast Niemcy miałyby otrzymać odszkodowanie w Afryce środkowej i część kolonii portugalskich.

W ten sposób na wmięszaniu się we wojnę wyszłaby najlepiej Portugalia, odczuwając ją na własnej skórze!

Z projektu owego nie są również zadowoleni trzej królowie: czarnogórski, rumuński i serbski, gdyż o nich i ich państwach niema tam ani wzmianki, gdy natomiast Belgia zajęła pierwszy plan i jej odbudowa uważana jest za *conditio sine qua non*.

Mnie ich przecież bynajmniej nie żal, radziłem im, by nie pchali palca między drzwi i nie wyciągali gorących kasztanów z pieca, do tego dla innych... Nie słuchali, poparzyli się więc!

